0101
3962

NASZE BŁĘDY

w 1831 roku.

20180
0101
B. P. im. Ł.
Bolesław Banach

OSZY.

3967.
1323/1964.

NASZE BŁĘDY

w 1831 r.

Bolesław Banach

Cena 10 groszy.

A 15430

1000172194

Hist. 10 c

DUPLIKAT

D. 935/57/4

Za pozwoleniem wojennej cenzury niemieckiej.

Myśl żywa twórczyni historji, przez rękę wodzów silnych kierująca narodem, wiodąca go przez wysiłek i poświęcenie do zwycięstwa i wolności, władzy i rozwoju, myśl żywa w państwach o rządzie silnym, bez porywu, z obowiązku wyznaczająca bohaterskie posterunki, myśl żywa *błąka się* w narodzie władzy pozbawionym. Rodzi się w najdzielniejszym sercu, jak iskra święta przelatuje z serca do serca i powołuje najenergiczniejsze, najsilniej wierzące, mocne, młode, miłujące. Zachmurza czoło myśliciela, wyrywa z dłoni godło zawodowe; ustawa dla niej warsztat, milknie codzienna pogawęda. Pierwszy opór napotyka w owym pierwszym z Ewangelji, który ma chorą żonę lub bydło sprzedał, który nie chcąc rzec: „Żona a dobytek milsze mi nad wszystko"... pierwszy powód do odrzucenia myśli podaje. I posłucha go drugi i trzeci: jeden ze słabości, drugi już się da przekonać, trzeci weń wierzy, a czwarty głosi anty-dogmat przeciw myśli żywej, która twórczynią jest historji. I wtedy ci, co ukochali, co przemyśleli, co zrozumieli, garstką szczupłą stają przeciw tłumom i po nich zostaje jedynie myśl, która trwa w narodzie i nowe budzi pokolenie, co sławę głosząc tym, co poszli, śladów ich myśli szuka.

I czasem tacy nieliczni, niezrozumiani po wiekach zwyciężają w jakimś pokoleniu, które całe zrozumie myśl żywą, twórczynię historji.

Tak my, urodzeni w niewoli, okuci w powiciu, od dziecinnych lat patrzeliśmy na ową krótką wolności zorzę — na ową garść, za którą zbyt wolno ruszyły tłumy a nigdy wszyscy nie poszli. Tak oni, szaleńcami przez współżyjących zwani, świętością naszą byli, która nam przyświecała. I z pokolenia na pokolenie przechodziła wieść o nich, jak święty narodowy skarb.

W powiewie wolności, wiejącym po Europie, zagrała nuta upragniona Polakom w jesieni roku 1830. Zapłonęły najlepsze serca, porwały się najsilniejsze dłonie. Iskra święta przeskakiwała z serc do serc, a zaciskające się pięści szukały powodów, by jej nie przyjąć. Tak, miasto by naród cały zapłonął i rozgorzał, stał się żywym roznosicielem myśli, zamiast, by szeroko ogarniając w walecznym popędzie powołanie swoje, o Litwie, o wschodnim dalekim kresie pamiętał, wielkie zamiary podejmując, zawahany naród podszeptu słabych słuchając łamał zawczasu skrzydła, kupiąc nadzieje swe naprzód już w obronie, w pobliżu Warszawy. Rozpęd i zamach był w najlepszych sercach, ale poszept szedł, że słabe własne siły, ale ostrzeżenia szły, że zagranica pomóc może i tysiąc myśli naprzód rzucano na poprzek zwycięskich pochodów.

Bo nikt z owych wówczas nie myślał, czym jest siła. Naród polski oddawna zrzucający z siebie wszelką władzę, przestał siłę własną szanować przeceniając tymsamym siłę obcą. Jednostka, niepoczuwająca się do tworzenia żywego ogniwa w swym państwowym łańcuchu, nie kierująca swoich myśli w porządnym szeregu, w sobie samej siły nie widzi i czując tylko słabość swoją, za-

rzuca ją Ojczyźnie. Stąd mylne przekonanie tak głęboko zakorzenione w politykach 31 roku, w pomocy Anglji i Francji nadzieja.

Oczywiście! Naród, który *jest*, znajdzie zawsze sojusznika. Nawet znajdzie go naród, który być *może*. Przykładem na to oczywistym, że wszystkie Polski powstania miały sojuszników w samym początku, że żadne nie miało ich pod koniec. Bo nikt przecież z miłości nie szuka sojusznika. Sojusznik musi mieć siłę, to znaczy wojsko. Wtedy jest. Zagranica oglądała się zawsze na Polskę, gdy przypuszczała, że Polska stoi w przeddzień postawienia armji. Sąsiad niejeden, który najłacniej mógł zajrzeć do Polski, może milczał. Ale kto za morzem, a zna historję dawną, prześwietną, kto Pułaskich i Kościuszków rycerskie pamięta imiona, temu się wydaje, że byleby Polacy w mundury weszli, już są potęgą. Dopiero, gdy spostrzeże, że w mundury nie idą, chłodnie.

I tak, zamiast, aby polityka 31 r. była koniecznie żądała od państw Europy, żeby sobie imię Polski przypomniały, powinna była Europie i światu wykazać, że Polska jest.

Drugie źródło słabości polityki 31-go roku było patrzenie się w przyszłość z punktu widzenia wrogów. Wielkie, śmiałe plany, budujące od nowa narody, tworzące państwa, przeprowadzające reformy, poparte były zawsze, gdy były zwycięskie, wojskiem i swego planu się trzymały. Nie tak w 31-ym roku. Zamiast na mapie kreślić krąg zamiarów i do nich siły i wysiłki prężyć, politycy i wodzowie, licząc się z przemożną siłą wroga, kurczyli się do obrony. A z tego podwójnego nie-

zrozumienia znaczenia siły: *wewnętrznej*, która naprzód sojuszników rodzi i *zewnętrznej*, która ciosy nieprzyjacielowi zadaje, z tego niezrozumienia, że tylko pod osłoną bagnetów, król jest władcą, sejm jest mózgiem i radą narodu, że tylko pod osłoną bagnetów państwo jest samowładne, wolność nietykalna, władza ma posłuch, a pieniądz jest bogactwem, z tego niezrozumienia wyrasta w historji r. 31 błąd trzeci: passywizm.

Czym jest passywizm w czasie wojny? Jest jak zaniedbanie ubezpieczenia się od gradu. Passywizm to rezygnacja naprzód z wszystkiego, to zdanie się na los, oszczędzanie w godzinie, gdzie może być zwycięstwo, wszystkiego, co się traci w godzinie klęski.

Passywizm łączy w sobie najwyższy utopizm, bo szczere przekonanie, że bez wysiłku cokolwiek posiąść można, z najgrubszym materjalizmem, bo szkoda krwi, szkoda konia, bydła i grosza na odbudowanie państwa.

Gdzie zaś siły niedocenia się i pragnie trwać w bezczynie, tam rodzi się niewiara i szuka powodów do poparcia siebie. Na podstawie niewiary, gdy wiara ma zastąpić władzę — rodzi się w kilka chwil po myśli rozpoczęciu *bezwład*. Stąd przez bieg powstania 31 r., wojny, którą za partyzantkę część Polski miała, a którą historja nawet zagraniczna za bój poważny i dający możliwość zwycięstwa uważa, przez bieg tego powstania widzimy ciągle dwie wytyczne: jedna wiary i władzy uskrzydlająca wojsko, druga niewiary i rozstroju, mącąca polityków i większą część narodu

Zadaniem tego szkicu będzie w krótkim rzucie dać faktom 31 r. przejść przed oczyma. Że

zaś syntezą powstania, dniem, w którym się ujawniły dobre i złe kierunki, bohaterstwa i winy, dniem, którego godziny przypominają ostatnie 300 lat dziejów polskich, jest dzień Grochowa, niechże ten dzień przedewszystkim wyjdzie z ram tego odczytu i przemówi głosem żołnierzy, wodzów i narodu.

W chwili wybuchu powstania listopadowego stał w Warszawie 7-tysięczny gwardyjski korpus litewsko-rosyjski W. ks. Konstantego, z którego można było wywołać braci Litwinów, wydostać broń, konie, armaty dla tysięcy, a tymczasem korpus ten puszczono z bronią i armatami za Bug. Ruszając odrazu pierwszym impetem na Litwę, można było rozbroić, zdezorganizować i po części na swoją stronę przeciągnąć korpus litewski Rozena w znacznej części z Litwinów złożony. Można było wojskami polskimi ruszać do granic ziem Rzeczypospolitej, bo wycieńczone wojną turecką wojsko rosyjskie, rozrzucone po całym kraju, nie mogłoby było nadążyć do walnej bitwy w ścieśniającym się polskim terenie. Gdyby iskra święta wszystkie serca ruszyła, gdyby wszystkie słowa i zastrzeżenia, wszystkie cepy i warsztaty były stanęły, to można było w krótkim czasie mieć podwójną, potrójną liczbę żołnierzy, a z nimi *i tylko z nimi* zwycięstwo i wolność.

Kto walczy, musi, aby zwyciężyć, *chcieć* zwyciężyć. Kto chce zwyciężyć, musi liczyć się z planami wroga, lecz wykonywać tylko swoje plany. W przyszłość musi ciskać swe nadzieje, za którymi idą razy i ciosy, lecz na to muszą być nadzieje silniejsze od obaw. Trwożyła się

Warszawa przemocą moskiewską, a z tej trwogi rosły myśli, czyby raz rzuconej rękawicy nie cofnąć, błagając przebaczenia. Trwożyła się Warszawa rozpędu i rozmachu, który jedynie mógł zrodzić zwycięstwo. Łamały się myśli przed myślą przewielką — nie wytrzymywały rzucenia wszystkiego na jedną szalę i tak zawahanie wszystkich wielki czyn uszczupliło, coraz mniejsze mu dając granice. Mniej obrazi się on wróg srogi, gdy mu pokażemy słaby wysiłek, nietrwały nasz opór... Sejm nie wie, czy walczyć, czy nie walczyć, dyktator rzuca z przerażeniem godność, która nań zbyt wielką odpowiedzialność nakłada Zostaje garść wojska nie dość szybko się mnożąca. Zamiast 70 – 80,000, które mogły i powinny były stanąć do pierwszej rozprawy, staje 50,000. Zostają generałowie z aureolą świetną z dawniejszych bojów z pod świetnego wodza, lecz oni, lecz wojsko, lecz kraj jest bez wodza. Naczelne dowództwo wciskają w dłoń niewodzowi, Radziwiłłowi, który nie wie, do czego naród wieść, a sejm radzi długo, jaką mu dać odznakę. Odznaka się znalazła — buławy na krzyż haftowane na epoletach—ale z tych buław wódz się nie zrodził, bo nie było tego, któryby całą odpowiedzialność dźwignął.

Nie dość rozrośnięte wojsko polskie nie wyrusza tam, gdzie je wieść miały prześwietne nadzieje. Kupi się w pobliżu Warszawy i czeka.

Tymczasem z początkiem lutego, niezłomną *jedną* wolą prowadzone, w dwójnasób liczniejsze wojsko rosyjskie, w jedenastu punktach przekracza granice Królestwa Kongreso-

wego. U nich żadnego wahania, żadnych sejmów, żadnych względów na Europę: *rozkaz* krótki, jasny, stanowczy: Marsz na Warszawę, zdobycie jej i zgniecenie powstania. Kolumny rosyjskie, zanim się połączą, dają liczne możności rozbicia ich pojedyńczo, przemożnymi siłami. Wódz lew, pewien sił swoich, byłby przysiadłszy pod Warszawą, patrzył i słuchał i skoczył naprzód całą siłą, zadając klęskę rozdzielonym. Inaczej wódz Polski... Rozdziela swe siły, probuje zastawić wszystkie drogi, i pierwsze starcia wojsk polskich z Moskalem to bitwy odwrotowe, choć zaszczytne dla oręża polskiego, ale nie mogące dać zwycięztwa: Dobre i Kałuszyn. Jak jasny promień utarczka zaczepna Drewnickiego pod Stoczkiem, rozbicie jazdy Geismara. Rozrost nadziei duchów polskich. Lecz zamach Drewnickiego, zbytnią ostrożnością wstrzymany, korpus jego zostawiony na pobocznym placu boju, płoszącymi rozkazami ani nie puszczony ze smyczy, ani ku walnej obronie Warszawy na Pragę ściągnięty. Tymczasem fala moskiewska się zbliża. Od wschodu wali Dybicz z przeważną siłą, na czele korpusów Rosena, Pahlena, przemożnej artylerji, od strony Łomży, pośpiesznymi marszami nadąża Szachowskij, by zadać pchnięcie polskiemu wojsku w lewy bok. Ten ostatni jeszcze daleko. Gdy główne siły Dybicza dnia 19 lutego próbują się rozwinąć z lasów Miłosny, Chłopicki może zgnieść je przemożnymi siłami. Nie używa ich, nie wyzyskuje wszystkich. Cała dywizja Skrzyneckiego nie bierze udziału w bitwie. Wódz Chłopicki stacza bój krwawy, dzielny, z chwałą

dla oręża polskiego, ale pozwala Moskalom rozwinąć się przed lasem — skąd już widoczne wieże Warszawy. Za kilka dni nadejdzie Szachowskij i wojska rosyjskie połączą się pod samą Warszawą, w nadziei zadania ostatecznego ciosu. Zagrzmią działa pod Grochowem i krwią spłynie Olszyna.

Chłopicki i generałowie mają, co chcieli. Mogą stoczyć w 50.000 i 100 armat bój przeciw 80,000 i 200 działom. Mogą skończyć prędko mękę wysiłkiem, Termopilowym bojem. Mogą zrzucić z siebie troskę i odpowiedzialność śmiercią ze wszystkich najłatwiejszą — śmiercią żołnierza. Omylili się. Nie zwyciężyli Polacy— bo zwyciężyć nie mogli, nie zdobywszy się na wysiłek wysiłków. Nie zwyciężył wódz i zwyciężyć nie mógł, gdy się ciągle wahał, czy jest wodzem. czy nie jest nim, czy ma wydawać rozkazy, czy słać po rozkazy do malowanego wodza, Radziwiłła. Nie zwyciężyli generałowie, którzy z otrzymanych rozkazów Chłopickiego wykonywali—podług wartości sumień—tylko te, które wykonać im się podobało — a inne jako nie pochodzące od Radziwiłła, odrzucali. Omylili się. Bo wojsko pobić się nie dało. To wojsko nieliczne, zdemoralizowane niezgodą starszyzny, demoralizowane nieufnością, niewiarą w zwycięstwo u znacznej części narodu, żegnane przy wymarszu nie tylko okrzykami entuzjazmu, lecz i okrzykami trwogi: „Na śmierć idziecie pewną! na klęskę!“—pobić się nie dało i walcząc bohatersko zostawiło bitwę nierozstrzygniętą.

A mogliśmy zwyciężyć, nie tylko w bitwie Grochowskiej. Bitwa ta jest jakoby syntezą błędów i bohaterstwa wielkiego roku.—Powrócimy do niej jeszcze, przedewszystkim do epizodu w niej, boju w Olszynce.

Mogliśmy zwyciężyć po potyczkach pod Wawrem i Dębem — uderzając w bok rozsypanej armji Dybicza. Mogliśmy zwyciężyć w maju w wyprawie pod Śniadów na gwardję, otoczoną z trzech stron przeważnymi siłami polskimi, gdzie chodziło tylko o rozkaz natarcia, by sięgnąć po zwycięstwo. Mogliśmy zwyciężyć w krwawej, strasznej, przesmutnej Ostrołęckiej bitwie, do której wzór gotowy napoleoński Frydland przyświecał — gdyby nie zawsze lęk i trwoga i niepewność i niewiara wodzów, których wiara narodu nie uskrzydlała.

Mogliśmy zwyciężyć w miesiącu wrześniu, waląc całą armję z Modlina w bok flankowemu marszowi Paskiewicza ku Nieszawie. I mogliśmy wytoczyć ostatnią krew moskiewskich wojsk we wrześniu, pod murami Warszawy—gdyby ktokolwiek był pomyślał zawczasu o użytecznym umocnieniu stolicy i gdyby nie odesłanie dwutysięcznego korpusu Ramorina krótko przed szturmem. Wszędzie i zawsze wytrącała narodowi, Sejmowi i wodzom gromiący cios, nieufność w własne siły — a ufność w daleką zagranicę. Skrzynecki mówił: „Menueta zatańczę z Moskalami, nie wydam walnej bitwy, oszczędzę krwi, a tymczasem Anglja, a tymczasem Francja“... I tak oszczędzając krwi, wytoczył ją z połowy wojska, a resztę rozrzucił w emigracji po świecie.

Lecz wróćmy teraz do dnia grochowskiego na porachunek win onych ku nauce i na porachunek bohaterstw onych ku serc pokrzepieniu.

Zaświtał szary, śnieżny dzień 25 lutego. Wojska polskie i rosyjskie obozowały w odległości strzału armatniego.—Na prawym skrzydle, na prawo od Grochowa i na prawo od szosy z Warszawy do Siedlec, dywizja generała Szembeka. Na lewo od szosy w wysuniętej naprzód Olszynce, dywizja generała Żymirskiego, za nią w odwodzie dywizja generała Skrzyneckiego. Na północ pod Białołęką dywizja Krukowieckiego, zastępująca drogę Szachowskiemu. Siły polskie wynosiły około 50,000. Siły rosyjskie 80,000. Artylerja polska o połowę słabsza po obu stronach szosy, czyli na prawo i na lewo od Olszynki. Słabsze siły rozrzucone między lewym skrzydłem a Krukowieckim. A cała jazda, złożona z dywizji generałów Łubieńskiego i Umińskiego, z tyłu na lewo od szosy — między szosą a Targówkiem. Na brzegu lasu Miłosny, Moskale. Na lewym skrzydle korpus Pahlena, na prawym korpus Rosena, zasłonięte przemożną artylerją. Głównym kluczem pozycji polskich, i wysuniętym naprzód bastjonem, była Olszynka, dopiero po jej zajęciu mógł nieprzyjaciel iść na Warszawę. Na lewo Olszynki, aż hen ku Brudnu, ciągnęły się łąki, poprzecinane głębokimi rowami, trudne do przebycia dla jazdy.

Chłopicki ze swoim sztabem zerwał się, jak codzień o świcie, ze swej kwatery w ostatnim domu Grochowa, i posunął się naprzód po szosie ku posterunkowi moskiewskiemu. Wtym zagrzmiały od Białołęki odległe działa Krukowieckiego.

Było to wezwanie do ogólnej walki. Wódz rosyjski, feldmarszałek Dybicz, który właśnie stał w czworoboku brygady grenadjerów, gdzie się odprawiało nabożeństwo polowe, przerwał nabożeństwo i w obawie, że Polacy atakują Szachowskiego, dał sygnał do boju. O godzinie pół do dziewiątej huknął pierwszy strzał armatni rosyjski. Kula działowa przeleciała po szosie w blizkości sztabu Chłopickiego. Po chwili zagrzmiały wszystkie działa rosyjskie. Wojska stanęły pod bronią. Bitwa była rozpoczęta.

Zanim padł ów strzał armatni, tyraljerzy brygady Rollanda dywizji Żymirskiego, ustawieni na wschodnim brzegu Olszynki, tupiąc od mrozu i zabijając rękoma. pełni dobrej otuchy i humoru, oczekiwali bitwy. Gdy huknęły armaty rosyjskie, ujrzeli z za Dębowej Góry, pod lasem Miłosny, ognie z armatnich wylotów. Wnet na szarym śnieżnym polu ukazało się pięć rozwiniętych bataljonów rosyjskich, korpusu Rozena, idących ku nim do szturmu. Pociski armatnie rosyjskie, przez przedziały między własnymi bataljonami, albo ponad ich głowami towarzyły Moskalom drogę, padając gęsto w Olszynkę. Z obu stron Olszynki zagrzmiały polskie działa. Moskale szli rozwinięci, przystając co kilkadziesiąt kroków i dając salwę w las. Odpowiada im celny, gęsty ogień tyraljerów polskich, a w ich szeregach widać skutek polskich granatów. Każdy trafny strzał polski budzi echa radosne wśród tyraljerów. Jednak dzielne bataljony rosyjskie zbliżają się na kilkanaście kroków od Olszyny. Ostatnia salwa—i zwarcie na bagnety.

Przed przemożną siłą, walcząc o każdy krok, cofają się tyraljerzy polscy ku swoim bataljonom. Szeregi rosyjskie giną z oczu Dybicza, przypatrującego się im z Dębowej Góry, i wsiąkają w Olszynkę. Do uszu obydwuch wodzów dochodzi tylko gęsta strzelanina palnej broni. Generał Rolland rusza naprzód sześć swoich bataljonów do kontrataku i wypiera Moskala z Olszyny. Lecz cztery nowe bataljony rosyjskie przychodzą wypartym w pomoc. Połączonych dziewięć znów uderza na Olszynkę, przepierając Polaków. Generał Żymirski na czele drugiej swojej brygady przybiega na pomoc. Bitwa staje się coraz zaciętszą. Wśród trzasku drzew i gałęzi, druzgotanych kulami armatnimi, toczy się zacięty bój na bagnety i kolby. Zrzadka tylko padają strzały ręcznej broni—bo czasu niema na nabijanie. I znów zdziesiątkowane bataljony moskiewskie, wyparte na wschodni kraniec Olszynki. Lecz już po za ich plecami żołnierze polscy widzą nowych osiem bataljonów, idących w kolumnach do ataku. Cała dywizja Żymirskiego formuje się na brzegu Olszynki, by przyjąć nowy atak. Wali w nią ze zdwojoną siłą artylerja rosyjska. Ustępujące bataljony rosyjskie, wraz z nowo przybyłymi—rozwiniętym półkolem postępują ku Olszynce, zatrzymując się tylko, by dać ognia. Jest ich razem 17 bataljonów. Przeciw nim na skraju lasku 11 bataljonów dywizji Żymirskiego. Brzmi komenda polska wzdłuż linji: „Ładuj! Bierz! Pal! Czekaj! — Ładuj! Bierz! Pal! Czekaj!”

Przeciwnicy stoją w odległości 20-u kroków. Trup pada gęsty... Śnieg czerwienieje od krwi. Dym strzałów tamuje wzrok. Z za owego dymu buha komenda rosyjska: „Na Lachy! na Lachy! na sztyki!” I wali stłoczona ciżba rosyjska na Polaków. Dwie linje ścierają się znów w ręcznej walce. Trup pada tak gęsty, że u brzegu Olszynki powstaje wał z ciał ludzkich. Znów Polacy przemocą przeparci—cofają się ciągle walcząc, ustępują. Nikt nie odwraca się plecami, zwróceni czołem ku przeciwnikom, cofają się w porządku, nie w rozsypce. Ale już ich Moskale przepierają przez głęboki rów, co przecina Olszynkę.

Żymirski śle adjutantów do Chłopickiego z wieścią, że z swoją dywizją Olszynki utrzymać nie może. Przychodzi rozkaz: brygada Rollanda, która najwięcej ucierpiała, ma się cofnąć za Olszynkę i sformować się na nowo. Na jej miejsce Chłopicki śle w bój brygadę Bogusławskiego z dywizji Skrzyneckiego. Nowa ta brygada uderzywszy — przechyla zwycięstwo na stronę Polaków. Znów bój się przewala z powrotem przez Olszynkę.

Dybicz, który, przypatrując się z Dębowej Góry, myślał, że już Olszynka zdobyta, widzi znów szeregi rosyjskie w rozsypce, wypchnięte z lasu, rozbite i cofające się. Gniew nim miota, porywa korpus Pahlena, porywa grenadjerów i karabinierów, dzielni generałowie rosyjscy stają na czele kolumn do ataku. Tak, nawałnica 26-u świeżych bataljonów rosyjskich stacza się ku Olszynce. Towarzyszą im liczne baterje konne,

podjeżdżają galopem asekurowane przez pułki kawalerji i zasypują Polaków zawieruchą kartaczy.

Chłopicki wie o burzy, która mu grozi. Za Olszynką ma już tylko w rezerwie nienaruszoną drugą brygadę dywizji Skrzyneckiego. Prócz tego już tylko 3 bataljony grenadjerów, stojące na prawym skrzydle dywizji Szembeka, których zabrać może. Lecz słyszy, że ścichły działa od Białołęki. Wie już, że Krukowiecki, odparłszy Szachowskiego, jest wolny i może przyjść w pomoc. Odparty Szachowski musi kołować po łuku na Grodzisk i Marki, na wązkiej, wśród trzęsawisk, drodze, zanim się zdoła połączyć z Dybiczem. Przed wieczorem wesprzeć go nie będzie mógł, gdy tymczasem Krukowiecki już powinien był być w drodze ku Olszynie — gotowa siła do ostatniego ciosu. Stoją jeszcze dwie dywizje jazdy polskiej. Chłopicki zamierza dywizją Łubieńskiego, na prawo od Olszynki i wzdłuż po szosie czwórkami szarżą samosierrową uderzyć.

A czas już wielki — bo goniec za gońcem donosi mu z Olszynki, że 12 bataljonów polskich nie może się oprzeć 26-u rosyjskim. Półkolem otoczeni, dziesiątkowani kartaczami rosyjskimi, parci potrójną blisko przemocą, mogą już tylko *ginąć* w Olszynce. Obronić jej nie zdolni. Na małej polance, konno, stoi generał Żymirski. Wkoło niego strzępy dwuch brygad. Żołnierze rozmaitych kompanji, bataljonów i pułków, pomęczeni, zakrwawieni, o wystrzelanych ładunkach, pogiętych bagnetach. Ręce mdleją, kolana się uginają. Ochrypła brzmi komenda: „Stać! Stać!—nie dajmy się! nie dajmy!" Granat zabija konia Żymirskiego i urywa mu ramię. Krzyk wielki

powstaje w całym lasku. Krzyk ten posłyszał nawet Dybicz pod lasem Miłosny. Kilkunastu najbliższych żołnierzy ostrokołem bagnetów otaczają konającego generała. Inni wyciągają go z pod zwalonego konia i unoszą. Bój się tam toczy, jak za czasów Iliady o ciała bohaterów. Już Polacy wyparci zupełnie z Olszyny. Już po polskiej stronie wychylają się z zarośli moskiewskie mundury. Szczątki dywizji Żymirskiego, wycieńczone do ostatniego tchu, starają się sformować opodal. Para bucha z pomęczonych ciał i ciężkich oddechów.

Porwał się Chłopicki i z gen. Prądzyńskim i całym swoim sztabem pędzi ku Olszynce. Rozegnał znów adjutantów do Krukowieckiego, żeby przyśpieszył marszu i uderzył w lewy bok Olszynki, do Łubieńskiego, by z jazdą walił naprzód. Ostatnią świeżą brygadę Skrzyneckiego pchnął w las na lewo, sam na czele trzech bataljonów grenadjerskich szturmuje prawym skrzydłem. Za nim naprędce uformowana druga brygada Skrzyneckiego. Za nim na ochotnika te kompanje dywizji Żymirskiego, które jeszcze na nogach ustać mogły.

Teraz baterje polskie miotają granaty i kartacze na las zajęty przez Moskali. Generałowie, pułkownicy na czele polskich kolumn. Za nimi muzyka wojskowa, a z wszystkich piersi pieśń: *Hej, kto Polak, na bagnety!* Zapał ogarnia wszystkich, niepowstrzymanym pędem walą z powrotem w Olszynkę, pchają przed sobą Moskali, ci, gęstego trupa zostawiając, ustępują z Olszynki. Dybicz, tak niedawno jeszcze pewien zwycięstwa, słyszy nowy war, nowej bitwy. Widzi jak

z lasku, najpierw pojedyńczo, wypadają rosyjscy żołnierze, potym garściami, potym gromadami całymi. Wysypują się z lasu z powrotem poszarpane kompanje i bataljony. Z lasu bucha pieśń bojowa polska, echo jej bije o las Miłosny. Armaty, które byli zatoczyli już w Olszynce Moskale, i te, co stały w pobliżu Olszyny, już w rękach Polskich. Radosne okrzyki żołnierzy polskich: „Nasza Olszyna! Nasza Olszyna! Teraz my do ich lasu!“ Wszystkie serca ożywia nadzieja zwycięztwa. Jeszcze chwila, a od lewego skrzydła błysną karabiny Krukowieckiego, a na prawo zatętni niezłomna szarża jazdy Łubieńskiego. Nie trudny żołnierzom polskim wysiłek, nie bolesne rany, ani gorzka śmierć. Zwycięztwo! Zwycięztwo! Zwycięztwo!

Obraz był taki: Szeroko stłoczoną ławą cofały się pomieszane szeregi rosyjskie. Linja ich wiła się i kolebała, próbując oporu w niektórych miejscach, w innych tył podając. Ku uciekającym rzucali się oficerowie rosyjscy, dzielni, miotając klątwy i słowa komendy, pchając piersiami końskimi tłumy uciekających. Za nimi tuman śnieżny, pod niebo wzbity tysiącami stóp. Za tumanem polskie zwycięzkie szeregi, bodąc pochylonymi głowami śnieżną zawieruchę. Przed nimi, nad nimi, wokoło słowa pieśni: „Żyj swobodo, Polsko żyj!“ i „Jeszcze nie zginęła!“

Zdumiał się Dybicz! Dotąd niezwyciężone swoje liczne, pełne szeregi widzi pchane cienką linją, o połowę mniej licznego polskiego żołnierza. Śle w bój ostatnie swoje rezerwy. Rozesłani oficerowie starają się zaprowadzić ład w cofającym się tłumie. Kierują fale w odstępy między

baterjami i ruchem tym odsłaniają paszcze armat. Grzmi straszna salwa kartaczy. Pokotem na owych lukach padają polscy żołnierze. Grzmią słowa komendy: „Ferma! Ferma!" Na miejsce trupów stają nowi żołnierze i jeszcze pchają naprzód: „Na armaty! na armaty!" Bywały miejsca, gdzie po kilkakroć wyłom, na 50 chłopa szerokości uczyniony, był zamykany i zaścielał ziemię nowym wałem trupów. Powaga padła na dusze generałów rosyjskich wobec tego bohaterstwa. Na zdziesiątkowanych salwami nowe siły rosyjskie uderzyły i osadziły wreszcie zamach Polaków.

A polskich rezerw nie było! Próżno oglądał się Chłopicki i jego sztab za Krukowieckim i Łubieńskim. Próżno rozganiał adjutanta za adjutantem. Zaklinał adjutant Krukowieckiego, by ruszył swą, po krótkim boju dawno odpoczętą dywizję. Piechota stała, mając broń w kozłach i rwała się do boju. Wrzeszczały o ich pomoc działa z pod Olszyny.—Krukowiecki się nie ruszył: „Rozkaz od Chłopickiego? Kto jest pan Chłopicki? Ex-dyktator, ex-wódz, ex-generał? — Radziwiłł nam wodzem — a od Radziwiłła rozkazu niema!" — Z niczym rwał zrozpaczony adjutant Chłopickiego z powrotem.

Przypadł inny adjutant Chłopickiego do Łubieńskiego z rozkazem szarży. Generał, odważny napoleoński pułkownik, już dobywał szabli. Sztab własny go powstrzymał: „Jakto, generale, do szarży? po tej ślizgawicy, po tej grudzie? — jedna trzecia koni nie ostro kuta!" — a inny: „Niepodobna, zagony na poprzek, kapuśniki przed nami!" — a jeszcze inny: „Chłopicki ten rozkaz śle? Chłopicki niema pojęcia

o ruchach jazdy! Pamiętaj generale, że niedawno pod Wawrem ledwo nie wygubił naszych strzelców konnych niedorzecznym rozkazem". Zawahał się Łubieński, nalega nań adjutant. Jak w obraz, patrzy weń tysiąc oczu ułańskich: stopa im tęskni za strzemieniem, ręka po lancę sięga. „Prowadź, prowadź!" A gwar bitewny z Olszynki wrzeszczy o pomoc. — Ocknął się Łubieński i już ma rozkaz na ustach. Osobista odwaga domaga się szarży. Podjeżdża sztabowiec: „Jenerale, przejdziesz do historji jako ten, który w bezcelowej szarży wygubił jazdę polską"... Gasną na ustach generała słowa komendy, on sam ładnie ganaszując konia, galopem z prawej nogi objeżdża wkoło pułku. A zrozpaczony adjutant Chłopickiego gna z powrotem z wieścią: „Nie ruszy Łubieński, nie ruszy!"

A jeszcze dalej z tyłu żelaznego słupa, naczelny wódz nominalny, książę Radziwiłł, z naczelnym nominalnym sztabem, spłoszony, niemy, głuchy, bezradny.

Tymczasem z pod lasu Miłosny cofają się zwycięskie przed chwilą, teraz zdziesiątkowane, przepychane przemożną liczbą, szeregi polskie. Dopadli do Chłopickiego adjutanci z złowrogimi wieściami. Zaklął ich raz jeszcze: „Muszą, muszą przyjść, los bitwy od tego zależy, los Polski od tego zależy!" — i rozgonił z powrotem. A sam pędzi do Radziwiłła, jego prosić o sankcję własnych wodzowskich rozkazów. Pędzi z kopyta, śnieg mu w oczy bije, ale *teraz* rozgorzał, rozpłomienił się cały. I *ustąpić* nie chce. Porwie jeszcze raz wszystkie nie-

dobitki, jazdę ruszy, Krukowieckiego ściągnie — i utrzyma Olszynkę! — Teraz klnie swą dawną słabość... Przeklina chwilę, gdy odrzucił dyktaturę. Teraz wie, że niepotrzebnie chciał ginąć w termopilowym boju. Teraz wie, że mógł był zwyciężyć, zwycięstwem Austerlitzu! *Czemu przemarnował trzy długie miesiące?* Czemu dawał ucho słabym? Czemu gasił dzielnych? Gdyby był zaufał w siły, o tej godzinie pchała by rosyjskie prawe skrzydło dywizja Krukowieckiego. Lewe tratowałaby szarża polskiej jazdy. Czemu skazał Drewnickiego na błąkanie się, gdzieś daleko od głównego boju? Czemu nie postawił na nogi nowych dwudziestu tysięcy polskiego wojska, któreby teraz w puch rozbijało zastępy Dybicza?

Rozmówił się z Radziwiłłem, wymógł od niego potwierdzenie rozkazów, nawrócił konia z powrotem ku Olszynce. Po drodze zbierał wszystkie niedobitki i nowa rosła mu pod rękami siła. Zapóźno, panie generale, zapóźno! Granat pękł w brzuchu jego konia i ranił ciężko Chłopickiego. Odniesiono go z pola bitwy.

Tymczasem bój o Olszynkę dogorywał. Cofali się polscy żołnierze, krok za krokiem, powoli, przepierani potrójną, poczwórną przemocą. Żaden Moskal nie ujrzał polskich pleców. Cofali się, przyjmując rany w czoła i w piersi. Przewracali się przez ciała poległych i rannych towarzyszy, i zrywali się znów do upartego oporu. I wołać zaczęli: „Rezerwy, rezerwy! Posiłków, posiłków! gdzie Krukowiecki? gdzie jazda? I myśleć zaczęli w ostatniej przedśmiertnej godzinie: „Czemu nas było *tak*

mało? Czemu nam wydarli pewne zwycięztwo *ci, co nie wierzyli?* Ci, co wszystkim ufali i wszystkich podejrzywali—tylko nie ufali własnej sile i nie podejrzywali własnej słabości". I myślał żołnierz w ostatniej przedśmiertnej godzinie: „Gdzie mój brat? gdzie mój swat? gdzie sąsiad? gdzie kum?—Czemu nas skazali na śmierć bezowocną, w klęsce, zamiast się powołać wszyscy do wspólnego z nami zwycięstwa?—i przestawali wołań: „Posiłków, posiłków!" Tylko w ostatniej śmiertelnej minucie mówili do siebie: „Tu nam stać, tu ginąć!" I walili się pokotem, z bagnetem rosyjskim w piersi, brocząc krwią serdeczną, przebaczając braciom, co zawiedli, i nadzieję ciskając w przyszłe pokolenia, ich śmiercią żyjące.

Cichł głos armat... Tłum Warszawski z wielkim lękiem wołał: „Przemogli naszych Moskale, przemogli, biada nam, biada! Tchórzliwi, co wśród zgiełku bitwy przycichli—teraz dzielnie podnosili głowy: „Spełnione nasze wróżby, szaleńcy!" Politycy po klubach, kawiarniach. stowarzyszeniach, salonach prawili: „Cichną działa, wnet przyjdą Moskale, przewidzieliśmy, przewidzieliśmy! Trzeba było przebłagać cara Mikołaja, sam byłby ulżył naszemu losowi. Szaleńcy, szaleńcy! Jedyna nadzieja w zagranicy. Anglja... Francja".. —i wypatrywali na most na Wiśle, żali ujrzą od Pragi szeregi rosyjskie?

Lecz nie ujrzeli ich. Odwrót polski zatrzymała nowo uporządkowana dywizja Skrzyneckiego, po której bezowocnie ześlizgnęła się szarża jazdy rosyjskiej. Nadciągnął nareszcie po bitwie Krukowiecki z swoją dywizją. Natarczywy generał

rosyjski, Toll, domagał się od Dybicza ostatecznego na Pragę szturmu i zgniecenia powstania w jednym dniu. Lecz Dybicz, widząc wał polskich ciał,— a wśród nich tysiące rosyjskich trupów—licząc swe przerzedzone szeregi, stracił nadzieję ostatecznego zwycięztwa Tak, ci co wierząc w zwycięztwo, polegli u bram Warszawy, czas dali wszystkim wątpiącym i chwiejnym do opamiętania, do nowego wysiłku.

Ale byli i dzielni, szczerą chęcią boju przejęci, których porwało bohaterstwo walczących. Którzy *czekali*, bałamuceni wpływem ostrożnych i lękliwych, i którzy przejrzeli, że nie dosyć dla Ojczyzny straż honorową tworzyć u boku Chłopickiego. Że szkoda ich młodych sił na wyczekiwanie i politykowanie, gdy inni krew leją. Ci zasilili zdziesiątkowane pułki i w miesiąc później roznieśli sławę polskiego oręża zwycięstwami pod Wawrem, Wielkim Dębem, Iganiami. Zwróciły się naówczas znowu oczy Europy na dzielne wojsko polskie, i serca wszystkich poleciały ku Polsce. Ale Europa czekała dalszych zwycięstw i *dalszych olbrzymich wysiłków*. Tymczasem na garść dzielnych i wierzących napierały rzesze wątpiących i słabych. Przyszły dni klęski i ujawniła się słabość Polaków—a wtedy odwróciły się serca Europy od Polski. A gdy wojska Paskiewicza wkroczyły do Warszawy, padły w Paryżu pamiętne słowa: „L'ordre régne a Varsovie"—„Porządek zapanował w Warszawie".

Polska wystawiła przez cały ciąg wojny mniej więcej 150,000 żołnierzy, a mogła i powinna była wystawić 400,000. Może nie było amunicji i broni na tylu? Tak. Ale oszczędzono wszystkie

klamki, rondle, wszystkie bronzy; oszczędzono mnogo koni, zboża i bydła—i oszczędzono krew polską—a za te oszczędności odstąpiono wolność. Może nie znano wtedy w Europie podobnego wysiłku? Tak. Ale wtedy Polska *powinna* była ten wysiłek wymyśleć—wiedząc, że *tylko olbrzymim wysiłkiem można dopiąć olbrzymiego celu.* Gdy naród nie posiada nic, prócz tradycji wolności, która mu chęć wolności daje, musi niezrównanego imać się wysiłku, by posiąść wolność, władzę, panowanie, pieniądz, dobytek i żeby inni w rząd swój go z powrotem przyjęli.

Pochodnię tradycji przerzucać mogą z pokolenia na pokolenie, bohaterskie tysiące, wolność zdobyć mogą jedynie bohaterskie krocie. Przeto dziś, gdy wiek bez mała na Olszyny kurhanie przeminął, niepojęte sercom, rozumom jeszcze bardziej niezrozumiałe jest owo bicie cepów, warsztatów huczenie, gwar uliczny, gawęda polityczna, wahania generalskie, niezdecydowanie wodza w dzień Grochowa. A uskrzydlona garść, z której każden potrójnego wysiłku brał trud na siebie, uskrzydlona garść wołająca napróżno za takimi, coby z nią wraz potrójny wysiłek dzierżąc i trzy razy mocniejszego rozbili wroga, garść ona kilkotysięczna rzuca przez dziadów niezrozumianą myśl, żywą twórczynię historji—*wnukom.*